

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (37)

(fragmenty)



Najbardziej zaskakujące wrażenie zrobiły na mnie: wigor i młodość śląskiej babci jego żony Ani – pani Eleonory, wojażującej z wnuczką na trasach koncertowych. Okazała się też wrażliwą, spontaniczną interpretatorką przy stole paru moich wierszy.

Wypiliśmy nalewką wiśniowo-miodową zdrowie naszego trzeciego „znajomego” Piotra Bogdanowicza, „dzięki któremu” doszło do naszego spotkania, życząc sobie, byśmy po jego wyjściu z więzienia nie zostali przez niego uszkodzeni na ciełe.

O apelacji nie rozmawialiśmy. W ogóle niewiele mówiliśmy o sprawie, co mnie ucieszyło. Bo mam niewielką ochotę brnąć w nią dalej.

Czarna polewka zamiast wdzięczności

Jeszcze o Bogdanowiczu.

Właśnie ukazał się duży reportaż w „Gazecie Wyborczej”, z którego wynika, że istniały dwie wersje sądowe zastrzelenia trzech cinkciarzy przez Bogdanowicza. Pierwsza: że unicestwił ich w obronie własnej, gdy odebrali mu jego dolary i już – już dobierali się do pieniędzy w mieszkaniu matki. Stąd – otrzymał w pierwszej instancji tylko 10 lat więzienia.

I wersja druga, aktualniejsza: że zabił cinkciarzy z premedytacją, zwabiając ich do mieszkania matki pod pretekstem, iż chce skupić od nich dolary. Stąd – aktualna kara: 25 lat więzienia na kolejnym etapie procesu, ciągnącego się przez 8 lat. „Według zeznań bliskich, handlarze mieli przy sobie wtedy – odpowiednio – 30, 50 i 35 milionów starych złotych w dolarach i złotówkach. Pieniądze nigdy się nie odnalazły” – tak kończy się artykuł.

Jaka jest prawda? – o tym tylko wie Pan Bóg i Piotr Bogdanowicz.

Pan Bóg milczy...

A Piotr Bogdanowicz uważa, że został niesprawiedliwie ukarany.

Czy jednak można wierzyć człowiekowi, który w teście „Gazecie Wyborczej” w żywe oczy zapiera się przywłaszczenia sobie moich wierszy, choć istnieją dowody w postaci wielu moich

książek, z utworami *Wieczność* i *Z niewysłanego listu*, drukowanymi przeze mnie już wtedy, gdy miał zaledwie kilkanaście lat?

Zadzwoił również reporter z „Expressu Bydgoskiego” Piotr Schutta z różnymi pytaniami dotyczącymi okoliczności kradzieży wierszy. Cierpliwie wyjaśniłem mu co trzeba, po czym zatelefonował na drugi dzień, przyznając, że sprawdził i wszystko się zgadza. Jest mu przykro, bo – podobnie jak obrońcy Bogdanowicza na procesie z Wiśniewskim, z którą bydgoski dziennikarz przed chwilą rozmawiał, przedstawiając moje argumenty – został przez więźnia oszukany.

Bogdanowicz na drugi dzień po artykule w „Wyborczej” zadzwonił do dziennikarza „Expressu”, zabraniając mu publikacji artykułu, bo w przeciwnym razie „zaskarży redakcję”. Widocznie poczuł, że zabrnął za daleko w mówieniu nieprawdy. Artykuł jednak został wydrukowany, stawiając mojego plagiatora w jednoznacznie niekorzystnym świetle i podważając jego wiarygodność.

Swoją drogą, powinienem być zadowolony, bo przecież – jak już to kiedyś pisałem – trafiłem swoją poezją... za kratki. Ba, można wręcz powiedzieć, że Bogdanowicz „zakochał się” w moich wierszach, utożsamiając się z nimi bez reszty, choć dziś wstyd mu się przyznać do tej – nie zawsze platonicznej – „miłości”.

Kto wie zatem, czy nie jest to jeden z moich większych sukcesów poetyckich?

Większy od nagród, pochlebnych recenzji, listów od czytelników!

A ja, niewdzięcznik, odpłacam się za to memu wiernemu fanowi czarną polewką!?

* * *

Biorę ósmy dzień antybiotyk (cipronex), żeby zwalczyć wirusa grypy „przemyczonego” przez moją rodzinę z Singapuru. Jestem zbolalały, bo moje jelita zaczynają się buntować, nie tolerując takich przysmaków. Na dodatek przeczytałem *Grę w życie*, opowieść o Bogumile Hrabalu, i zasmuciłem się nad marnością ludzkiego, choćby najpiękniejszego życia.

Nie koniec na tym. Wieczorem zadzwonił mój przyjaciel Adaś Z., z natury pogodny sybaryta, który jednak miał w ostatnich latach tyle ciężkich przeżyć, że ma prawo zamienić się w melancholika: „Wiesz, jak przyglądam się zatroskanym twarzom, których pełno dookoła nas, to coraz częściej myślę, że zostaliśmy skazani na to życie”.

Przytaknąłem mu, częstując go w zamian garścią moich trosk.

Ale wieczorem zjawił się w telefonie niezna mi człowiek, przedstawiając się jako Paweł Pikul i pytając, czy nie chciałbym usłyszeć od niego „o Królestwie Bożym, które się zbliża”. Miał mroczny głos pełen niewiary w to, iż nie odłożę za chwilę słuchawki. Czuło się w tym głosie błagalną chęć poinformowania mnie o czymś ważnym. Jakże mógłbym mu odmówić odrobiny przyjemności i to pod koniec dnia? – Proszę mówić – zachęciłem.

Mówił przez 5 minut, a raczej głosił swoją wieść, szczęśliwy, że ktoś go wreszcie chce wysłuchać, iż zbliża się oto błogosławiony czas

Królestwa Bożego. Preczytał z Biblii odpowiedni ustęp, następnie zinterpretował go po swojemu, że oto Jezus w asyście 144 wybrańców wskrzeszonych z popiołów schodzi na tę Ziemię i niedługo nastanie raj. Nie będzie chorych, głodnych i nieszczęśliwych...

Skorzystałem z pauzy w jego głosie i wpadłem mu w słowo: – Bardzo się cieszę, jeśli jest tak, jak Pan mówi, i dziękuję za dobre wiadomości! Życzę z całego serca zdrowia, szczęścia i wszystkiego, co najlepsze!

Nie wiem, czy o to mu chodziło. Ale jego głos w słuchawce uśmiechał się do mnie, kiedy życzył mi dobrej nocy... Takim oto miłym akcentem zakończył się dzień, który zapowiadał same ponurości.

* * *

Aforyzmy Goethego – ale nie tylko Goethego – kojarzą mi się z widokiem wypreparowanego i oczyszczonego z mięsa szkieletu na leśnej polanie; nie wiadomo czy to szkielet, pasuje do każdego średniej wielkości zwierzątka. Nie ma w aforyzmach pojedynczego życia, przeżycia, zapachu, jest geometryczny szkielet wyabstrahowanej myśli. Nie, stanowczo wolę pojemniejsze formy.

Dokończyłem też czytanie wspaniałej powieści Stefana Zweiga *Cierpliwość serca* – to genialne studium litości. Choć powstało na początku ubiegłego wieku, jest jak najbardziej współczesną powieścią, pewnie bardziej współczesną – w swojej przenikliwej wiedzy o psychice człowieka – od książek Chwina, Dehnela i Pilcha – razem wziętych.

Długa historia krótkiego wiersza

Przy przeglądaniu starych zapisków wpadł mi w ręce szkic wiersza sprzed 24 lat, z którym nie umiałem sobie poradzić. Pisząc go, myślałem o moim koledze z podstawówki i zawodówce górniczej w Jaworznie – Tadeuszu Piękoszu, wielkim borzęckim chojraku, który mimo napoleońskiego wzrostu (160 cm) przed nikim i niczym się nie cofał. Pamiętam go, jak rozgryzał kufle w „Barze nad Uszwicą”, wskakiwał po pijanemu do wezbranej potopem Uzwicy i płynął do baru na piwo. Pamiętam go z bójek na weselach i zabawach, gdy występował przeciw silniejszemu od siebie i nic sobie nie robił, nawet wtedy gdy objano go na kwaśne jabłko. Rany goiły się na nim jak na psie, bo miał nie tylko psie, ale wręcz końskie zdrowie. W gruncie rzeczy bardzo go lubiłem, bo miał też dobre serce i wielką fantazję, tak że z przykrością przyglądałem się jego alkoholowej degrengoladzie i powolnemu słabnięciu ciała. Bardzo zdolny i na swój sposób inteligentny, realizował dość marnie rolę artysty życia. Lubił też rolę „przeskakującego” i zaskakiwać innych oraz siebie. Alkohol go jednak musiał w końcu nadwątlić a potem złamać na rękę. Zginął w tragicznych okolicznościach.

Po pijanemu spalił się na strychu starej chałupy, w której spał.

cdn.